ROZMAITOŚCI.

Dnia 8. Marca. Ner 10. Roku 1854.

Rozbicie okrętu.

(Powiastka z niemieckiego.)

(Dalszy ciąg.)

Powoli odzyskał każdy dawną wesołość; rozmawialiśmy i żartowali z wszystkiego, co się zdarzyło. Tylko kapitan niebrał żadnego udziału w naszych rozmowach, doświadczony zachowywał niezachwianą przytomność umysłu. Gdym mu zrobił uwagę, że okręt niezatonie może i za kilka dni jeszcze, zacisnął tylko usta i potrząsł głową z widocznym żalem serca.

Na okręcie tymczasem powtarzała się ta sama scena, co poprzedniego wieczora. Większa część pasażerów ciągle jeszcze pijana, raziła uszy swą wrzaskliwą wesołością, gdy tymczasem kilku innych owładniętych okropnością położenia, przechadzało się powoli i w milczeniu po pokładzie, inni siedzieli nieruchomie jak posągi rozpaczy. Rodzina Campbell była tak teraz jak i przez cały przeciąg podróży zupełnie samotna. Rodzice objąwszy się nawzajem siedzieli w posępném zamyśleniu na uboczy, nieokazując po sobie najmniejszéj lękliwości; córka zaś, której dla spokojności morza niewzbraniali oddalać się od siebie, biegała po całym okręcie.

Korzystając z pogodnéj pory, kazał kapitan podpłynąć na chwilę ku okrętowi dla porobienia niektórych rozporządzeń; natychmiast przybiegło dziéwczę na tę stronę okrętu i wołało do mnie: „O weźcież nas z sobą! Panie Ferguson, dobry panie Ferguson, czemuż niechcesz wziąć z sobą swéj małéj, kochanéj Ketty?“ Serce mi się krajało na te błagalne jęki dziécięcia. „Ja nie mogę cię wziąć, Ketty“ — odpowiedziałem — „Bóg świadkiem, że nie mogę, moje kochane dziécię!“ Ale dziéwczę wdrapało się na kraj okrętu i wołało ciągle: „Proszę cię, weź nas z sobą, panie Ferguson!“

I gdy tak stała na samym kraju, zachwiał się okręt gwałtownie, i dziécię straciło równowagę. „Strzeż się!“ — wołano zewsząd tak z łodzi jak z okrętu; ale przestroga była już zapóźna, dziéwczę wpadło w morze. Ja wskoczyłem w wodę natychmiast, i za kilka chwil byłem już przy niéj; pochwyciłem jeszcze w czas za włosy właśnie, gdy już tonęła, i szczęśliwie uniosłem do łodzi; powszechny okrzyk radości powitał mnie

za powrotem. Tymczasem kapitan zatrwożony chwianiem się okrętu, kazał oddalić się łodzi na całą długość liny, tak, że ledwie mogłem widzieć rozpacz rodziców, jak wyciągali ręce ku téj stronie, gdzie niesiono ich córkę.

— „Sądziłem, że już zatonie“ — rzekł kapitan spoglądając na okręt, trzymający się jeszcze w równéj wysokości nad wodą — „ale obawa moja była zawczesna.“ Zaledwie jednak wyrzekł te słowa, zatrząsł się okręt widocznie i w okamgnieniu zatonął jak ołów. Nieraz słyszałem i czytałem o jęku rozpaczy nieszczęśliwych ofiar w takim razie, ale my nic niesłyszeli, w istocie stało się to wszystko z szybkością błyskawicy. Woda zamknęła się tak lekko nad zatopionym okrętem, jak gdyby go nigdy nie miała na swojéj powierzchni. Żaden wir niepowstał, żadne szczątki niepływały w tém miejscu.

— „Odciąć linę“ — zawołał kapitan — „prędko, prędko, ludzie!“ Ale naprożno szukano topora — znikł gdzieś bez śladu. Nastała okropna pauza — chwila przerażenia i trwogi, bo za minutę mógł nas wciągnąć w bezdeń zatopiony okręt. — „Noża!“ — krzyknął kapitan; — „niéma nikt noża?“ Natychmiast zabłysły dwa lub trzy noże majtków. Lina prężała coraz bardziéj, łodź przechylała się, i wszystkim śmiertelna trwoga zapiérała oddech. Żylaste ręce majtków pracowały z największém natężeniem; łaska w tém nieba że ją przecięli, jedna sekunda zwłoki już byłoby za późno.

Wkrótce wionął wiatr pomyślny, kapitan kazał rozwinąć żagle, i odpłynęliśmy. W przeciągu tego czasu ocknęła się zwolna Ketty, i zaczęła powracać do życia. Gdy odzyskała przytomność, było jéj piérwsze pytanie: „Gdzież mój ojciec i matka?“ Niemiałem odwagi odpowiedzieć jéj na to. Wtedy spojźrzała dokoła po wodzie i zawołała z największém przerażeniem: „Okręt zatonął!“ — „Tak jest, moje dziécię“ — odrzekł kapitan z wzruszeniem, którego sam przytłumić niezdołał — „i wszyscy ci, którzy byli na nim, utonęli także!“ Wówczas rzuciła mi się na szyję i płakała rzewnie. Jeden z majtków widząc ją na wskróś przemokłą i drżącą od zimna, dał mi swój kaftan, abym ją obtulił i wkrótce usnęło biédne dziéwczę znużone na ciele i duszy śród płaczu na mojém łonie. Ale jak tylko się przebudziła, ponawiała znów swoje żale za „biédnym ojcem i za biédną matką.“

Gdyśmy się cokolwiek uporządkowali w łodzi, otworzono jedyną pozostałą nam beczkę sucharów, ale i te popsuła woda morska; kilka tylko było do użytku i niémi obdzielono nas w równych częściach. Także wodę rozdzielano, czém zajmował się sam kapitan, nalewając każdemu filiżankę dla zapobieżenia temu, aby który ze spragnionych niewypił więcéj, niż na niego przypadało. Biédne dziécię oprowadzało filiżankę dokoła wzrokiem świadczącym wyraźnie, że prawie ginęło z pragnienia; a jednak nierzekło ani słowa. Na moją prośbę wlał kapitan razem część przeznaczoną dla mnie i dla niéj. Moje gardło było

także suche, jednak zwilżyłem tylko usta, resztę podałem bladéj, cierpiącéj dziecinie; wychyliła, a rzewny uśmiech podziękowania rozlał się po jéj ustach, i oparła znów głowę na moich piersiach i płakała.

Cała nadzieja nasza w tém tylko była, żeby jak najprędzéj spotkać jaki okręt. Od początku naszego nieszczęścia szukało każde oko téj pociechy po całéj przestrzeni. Gdy słońce chyliło się ku zachodowi, powstał wiatr gwałtowny i piętrzące się fale miotały wodę do łodzi, i znowu pracować musiano ażeby ją wyczerpać. Nadto spotkało nas jeszcze to nieszczęście, że jeden z majtków, chcąc przeskoczyć przez ławkę, zawadził nogą o kompas i zgruchotał go zupełnie. Bez tego przewodnika na rozległym Oceanie było nasze położenie w istocie przerazające. Nasze zapasy wyczerpały się zupełnie, każdy pojmował że jeśli jeszcze przyjdzie przepędzić noc na łodzi, czekała nas nieochybna śmierć z głodu i z pragnienia.

Wiatr dął coraz gwałtowniéj, błyskawice przerzynały niebo i straszne grzmoty rozlegały się coraz bliżéj. Jeszcze przed zachodem słońca osuło się niebo taką ciemnością, że zmrok nastał o kilka godzin piérwéj. Gdy woda coraz częściéj i mocniéj zaczęła cisnąć się do łodzi, zawołał kapitan z rezygnacyą: „Moi przyjaciele, teraz już wszystko stracone; najdaléj za godzinę połączy nas Bóg z tymi, których niedawno pochłonęło morze.“

Wkrótce potém zawyła burza z całą gwałtownością i położenie nasze stawało się coraz okropniejsze. Gdyśmy już postradali wszelką nadzieję, i co chwila oczekiwali nieochybnéj zguby, pokazał się w dali okręt płynący wprost ku naszéj łodzi. Co za pociecha! Wkrótce posłyszano nasze wołanie i wybawiono nas spiesznie z tego nieszczęścia.

W cztérnaście dni potém przybyliśmy do Nowego Yorku. Gdyśmy zawinęli do téj wspaniałéj zatoki, uczułem całą przykrość mego położenia — bez pieniędzy, przyjaciół, bez znajomości! Wtedy padł mój wzrok na Ketty — ona była jeszcze bardziéj opuszczona! — „Biédna, mała istoto,“ — rzekłem wywnętrzając mimowolnie głosem moje uczucia — „cokolwiek nastąpi, ja cię nieopuszczę.“ — „Ach wiem, że nieopuścisz“ — rzekło dziéwczę rzucając mi się na szyję. — „Nie, nigdy!“ — zawołałem. Wprawdzie byłem bogaty w pomysły i życzenia, ale istotny mój majątek składał się z dwudziestu ledwie gwineów i z mego zégarka. Całą nadzieję pokładałem w moim przyjacielu, kapitanie, i jako szczéry opiekun przyrzekł mi wstawiać się za mną co będzie można. Jakoż, gdyśmy wysiedli, zabrał mię z sobą do hotelu. Ale i téj opieki pozazdrościły mi losy! Tego samego wieczora zebrało się u nas kilku przyjaciół, aby uczcić cudowne kapitana ocalenie; kapitan rad gościom kazał dać wina, spijali toasty zdrowia, wkrótce miał to być ostatni toast pożegnawczy; śród wesołéj zabawy kapitan padł nagle apopleksyą tknięty: poniesione trudy i trwoga, którą przebył, przyśpieszyły zapewne koniec jego życia.

Jedyném mojém staraniem było teraz otrzymać jakie zatrudnienie; przy pilności i wiadomościach moich spodziewałem się zarobić tyle, aby się wyżywić. I w istocie znalazłem wkrótce miejsce w pewnym handlu galanteryjnym z płacą trzystu dolarów. To byłoby już dostateczném, gdybym był sam jeden; ale Ketty była przy mnie, i gdyby był się kto ofiarował przyjąć ją do siebie, byłbym mimo ubóstwa mego tylko z niechęcią zezwolił na to. Gdym już ją i siebie, jakkolwiek z wielką oszczędnością zaopatrzył w potrzebne suknie, wyczérpała się prawie całkiem moja gotówka; ale w najgorszym wypadku mogłem jeszcze ratować się zégarkiem. Nająłem małą izdebkę z śniadaniem i wieczerzą za sto dolarów rocznie; na obiad zaś poprzestawałem na kilku sucharach, chociaż dla pozoru wychodziłem zawsze o tym czasie ze sklepu. Resztę mojéj płacy obracałem na moją małą wychowankę, którą umieściłem na pensyi w poblizkiéj wsi Brooklye. Wszakże i przy najtroskliwszéj nawet oszczędności niebyłby wystarczał na to mój dochód, gdybym przez odpisywanie nót, w czém ćwiczyłem się dawniéj dla rozrywki, nie był pomnażał go ile możności.

Po upływie sześciu miesięcy ofiarował mi mój pryncypał pomieszkanie w swoim domu; po dwóch latach otrzymałem od niego dobrowolny dodatek kilkuset talarów, tak że na drodze mego życia, któréj postanowiłem nieopuszczać nadal, mogłem już z większą nadzieją spoglądać w moją przyszłość. Za każdém odwiedzeniem Ketty przywiązywałem się do niéj coraz więcéj, i ona też zdawała się być zupełnie wylana dla mnie; każdego dnia, gdy mogła mnie się spodziewać, czekała na mnie i wybiegała jak mogła najdaléj naprzeciw mnie z otwartemi rękoma.

Późniéj posłałem Ketty do Troy nad zatoką Hudson, gdzie była sławna szkoła, z poleceniem, aby nieszczędzono żadnych kosztów dla jéj wykształcenia. Biédne dziéwczę tak mocno zmartwiło się tém rozłączeniem, że gdyby wszelkie przygotowania nie były już porobione i pieniądze z góry wypłacone, byłbym uległ może jéj prośbom; ściskając mnie prawie konwulsyjnie za szyję błagała nieboga ze łzami, ażebym ją zostawił w Brooklye lub jechał z nią razem. Ale gdym jéj wyjaśnił konieczną potrzebę tego, poddała się jéj spokojnie, choć serce krajało się z żalu.

Po jéj odjeździe dokładałem wszelkich starań dla zasięgnienia jakich wiadomości o jéj rodzinie; jeszcze piérwéj, zaraz po rozbiciu okrętu robiłem niektóre poszukiwania, ale zbywało mi na doświadczeniu w téj mierze, i wszelkie kroki były daremne. Teraz porozpisywałem listy do moich przyjaciół w Europie, podawałem ogłoszenia do gazet; ale i to nieprzydało się na nic.

Przez sześć lat tedy pracowałem w tym samym kantorze. Mojemu pryncypałowi musiałem być bardzo dogodny, bo obchodził się ze mną prawie tak, jak z własnym synem, i podwyższał kilka razy moją płacę. Z początku miałem zamiar po uzbiéraniu niejakiego majątku powrócić do mojéj ojczyzny; ale w ostatnich

latach porobiłem liczne znajomości i położenie moje stało się tak przyjemne, żem postanowił nieopuszczać już nigdy Nowego Yorku. Po niejakim czasie ofiarował mi mój pryncypał bardzo korzystny udział w swym handlu, na co chętnie przystałem, i odtąd byłem już zupełnie kontent z mego losu.

Wychowanie Ketty było teraz ukończone, i na zalecenie przełożonego zakładu sprowadziłem ją do domu pewnéj zacnéj damy w Nowym Yorku. Mój stosunek do pięknéj mojéj wychowanki był teraz cokolwiek krytyczny. Co wieczora bywałem w domu, gdzie mieszkała; Ketty grała doskonale na fortepianie i spiewała z nadzwyczajnym wdziękiem; była-to prawdziwa rozkosz dla mnie — miłośnika muzyki. Ponieważ w domu tym było jeszcze dwie innych młodych dziéwcząt, przeto niezbywało w nim na odwiedzinach młodych mężczyzn; ale mnie dręczyło to, gdym widział innych obok Ketty, gdy inni oddawali pochwały jéj grze i spiewowi; a jednak sam niemogłem się zdobyć ani na jeden pochlebny wyraz, chociaż czułem również to wszystko, co inni jéj mówili. A przecież jaśniały jéj oczy każdą razą, gdym wchodził do pokoju, lub gdym ją prosił, aby spiewała; nadto grywała najmiléj takie sztuki, których słuchać lubiłem, i kupowała nóty, które jéj zalecałem; a gdy wieczorem używaliśmy przechadzki, przyjmowała zawsze moje ramię tylko. Z początku bawiło mię bardzo towarzystwo owych młodych mężczyzn, którzy razem ze mną bywali w tym domu; ale późniéj czułem jakiś wstręt do nich, który coraz bardziéj się wzmagał, im więcéj rozwijali swój dowcip; i napróżno siliłem się moją niechęć pokonać.

(Dokończenie nastąpi.)

STRAŻNICA MORSKA.

Trajedya w dwóch aktach, wierszem polskim z Houwalda.

Przekład p. N. H.

(Ciąg dalszy.)

Kasper.

Chwalę wasze przedsięwzięcie;
Lecz zkądżeś uwiadomiony
Iż mąż piérwszéj twojéj żony
Żyje, i co się z nim dzieje?

Hrabia.

Pewności żadnéj niemiałem
Ale nie mylne nadzieje,
Iż go znajdę, oddam szczerze,
Co mu drogiém dawniéj było —
On przebaczy i odbierze —
Z taką nadzieją jechałem;
Okręt morskie prując wody
Szybko płynął bez przeszkody,
Niosąc naszych nieszczęść brzemię;
W tém krzyknięto: „Widać ziemię“
„Niedaleko stały ląd!“
Lecz przeznaczeń straszna moc
Poruszyła oceany,
Sprowadziła ciemną noc,
Rozhukanéj fali prąd
Swemi strasznemi bałwany

Pędził okręt aż na skały;
Niéma ratunku, nadziei,
Nawet i armatnie strzały
Daremnie się odzywały,
Okręt tonie wśród zawiei!
Co żyje więc szybko schodzi
Z okrętu do wielkiéj łodzi,
Gdzie z wszystkich sił natężeniem,
Kierujem ją w ową stronę
Co ma być naszém zbawieniem;
Bo tam lampy zapalone
Przyświécają nam tak jasno;
Już cel życzeń nie daleki,
My w coraz mniejszéj obawie,
Bo ratunek pewny prawie;
Gdy w tém raptem lampy gasną,
A my bez żadnéj opieki
Sami sobie zostawieni,
Bez kierunku wciąż pędzeni
Wichrem, co dął z całéj mocy;
Aż nakońcu o te skały
Rozbiła się łódź w kawały
I zniknęła w pośród nocy.

Kasper.

Więc lampy były przyczyną?

Hrabia.

Tak jest — czyją to jest winą,
Ten przed Bogiem zda rachunek,
Wszakże pewnym był ratunek;
Teraz wszyscy potonęli
W bezdennéj morza topieli.
Ja tylko jeden zostałem;
Własnemi oczy patrzałem
Na te okropności dzieła, —
I Matylda utonęła!

Kasper. *(na stronie).*

Wieczna, niepojęta siło,
Czyż-to twoją wolą było
Wybrać sobie za narzędzie
Aby on w zmysłów obłędzie...

(głośno).

Biedny, nieszczęśliwy człeku.

Hrabia.

O, ja nim się nazwać mogę,
Bo wpośród tych nieszczęść steku
Jedyne mi życie drogie
Które nas pojednać miało,
Z tych rąk moich uleciało.

Kasper.

Wszakże macie jeszcze syna?

Hrabia.

W nim też nadzieja jedyna;
Niech nas do ojca prowadzi
Teraz, zaraz, w téj godzinie,
Niechaj za nas działa, radzi,
Bo i on mi wkońcu zginie.
Daj mi także córkę swoją
Którą przybiéram za moją;
Bo tak dziwnie ta dziewczyna
Matyldę mi przypomina,
Która już dla nas nie żyje:
I co mnie wprzódy dręczyło
I tak nie miłém mi było,
Teraz podnieca nadzieje,
Iż chociaż zmianę odkryje,
Jednak w nim serce zmięknieje
I litość się w nim roznieci,
Gdy spocznie w objęciu dzieci.

Kasper. *(do siebie).*

Wielki Boże! cóż to znaczy?
Czyliż-by i on w rozpaczy
Miał też zmysły pomieszane?
Boże zkądże słów dostanę,
Abym mógł wygłosić śmiało:
Nieszczęście, co się tu stało!

Hrabia.

Błagam że cię nadaremnie?
Ty się odwracasz odemnie,
Jak gdybyś nie miał ochoty
Poprzestać na me błaganie, —
Wiedz — że Walter pozostanie
Po mnie niezmiernie bogaty
W dobra — jak jest teraz w cnoty —
Lecz ty milczysz uporczywie
I odrzucasz moje swaty?
Masz słuszność — wszakże właściwie
Walter nie jest moim synem,
A kto wié, co ma w umyśle
Dla niego, ojciec prawdziwy.

Kasper. *(do siebie).*
Mamże nierozważnym czynem
Poniszczyć jego nadzieje,
Nie — na tę myśl nie truchleje.
(głośno).
Wszak gdybym pociechę miał
Chętnie-bym wam tutaj dał.
Lecz wam wprzód wypadek skréślę,
Równie nieszczęsny jak tkliwy
Przyjaciela — co przed laty
Podobnéj doświadczył straty;
Bo i jemu syna z żoną
Równie srodze wykradziono! —
Lecz jako mąż urażony
Nie pragnął powrotu żony,
Pragnął tylko zwrotu syna;
Gdy w tém go doszła nowina,
Iż ci co mu drodzy byli,
Wpośród morza się rozbili.

Hrabia.
Jakże to się strasznie darzy,
Więcéj-że takich zbrodniarzy,
Co wraz ze mną przed sąd staną,
By słyszéć wyrok straszliwy!

Kasper.
Taką wieścią niespodzianą
Mój przyjaciel nieszczęśliwy,
Aż do żywego dotknięty
Podpadł okropnéj chorobie;
Wprawdzie znowu jego ciało,
Z czasem całkiem wyzdrowiało,
Lecz mózg w strasznym został stanie,
Bo wpadł w zmysłów pomieszanie.

Hrabia. *(załamuje ręce).*
Sprawiedliwy ojcze święty,
Jedyna nadzieja w tobie!
Ty łaskawy panie świata!

Kasper.
Lecz mój przyjaciel miał brata
Który go w takiéj potrzebie
Najchętniéj przyjął do siebie,
Choć sam drogą żonę w życiu
Stracił przy córki powiciu.

Hrabia.
O, człeku, skończ moje męki,
Zaklinam cię na sumienie!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Rzymskie Fantocini zapustne.

Pod wieczór przechodziłem koło pałacu Fiano. Z pod suterynów wychyla się jakaś głowa i woła: „*Entrate Signori, entrate o gentilissimi!*“

— Cóż tam jest?

— Proszę, wnijdź Pan! mamy komedyę, tragedyę i balet! widowisko! pod słońcem szukać równego. Prezentują się niezrównane *fantocini* sławnego signora Calzetti.

— Zgoda! sława nie podrzutek, powitać się godzi, i za trzy *bajocchi* wchodzę na Maryonetki.

W domu nim-by wlazł człowiek do piwnicy, oglądnąłby się czy go ludzie nie widzą, ale w Rzymie że mię wtedy nikt nie znał, przymróżyłem tylko oczy niby się wstydząc przed sobą i po schodach wkradłem się w loch podziemny. Zdziwiło mię gdym zastał bardzo zacne zgromadzenie z mieszczaństwa rzymskiego, przytém teatrzyk tylko się nim pieścić, dwanaście stóp wszérz, na pięć do sześciu wysoki, dekoracye, — szkoda że u nas takich niema — cud piękności, aktorowie ślicznie postrojeni tylko ze wzrostu na trzy piędzie, mimo tego wzór układności i najprzyzwoitszych ruchów; trudno pojąć co to są za sprężyny w téj mechanice. Ale nie wydawajmy.

Przyszedłem właśnie przed zaczęciem, poznałem po téj niecierpliwości w nogach szczególnie mojéj sąsiadki, bo i mnie się dostało; ale dano znak, kortyna się podnosi, cisza! wychodzi mężczyzna stateczny ale układny i rozmawia sam z sobą. Jest-to Signor Cassandrino, i od niego nosi sztuka tytuł: „*Cassandrino allievo d'un pittore*“ uczeń malarza.

Eh! Mości Cassandrino, czegoż-to ja się z monologu nie dowiaduję? nie ten to w Waści człek poważny co myślałem. Ale pozwól niech cię zaprezentuję.

Cassandrino przeobraża typ wyższego towarzystwa w Rzymie; chytry, obleśny, grzeczny, lubieżny, niewolnik konweniencyi, biegły dyplomata, oczytany poeta, zastarzały w romansach bohatyr. Nosi się z francuzka, włosy choć siwe, pięknie uczesane. Pospólstwa złośliwe oko upatruje pod tym strojem coś innego z czém mu się nie wolno wydawać; może to nie być prawda, bo Rzymianin we wszystkiém widzi ironię, bez niéj żyć nie może, a nie mogąc szydzić otwarcie, tém większe zostawia pole domysłom. Po wielkich teatrach cenzura przykraca dwuznaczności, dlatego cisną się ludzie do fantocinów gdzie improwizacya swobodniéj się w satyrę przekrada. Chociaż

i tu przedsiębierca musi być bardzo ostrożnym, dobiéra nawet wyrazów wcale niewinnych, lecz zato przyżycza osóbkom swoim układu, postępowania i takich ruchów po których każdy zgaduje osobę i to z czego szydzić pragnie.

Gdy Cassandrino wyszedł wyfryzowany i wymuskany, uśmieszek delikatny na ustach, trudno było nie myślé by to nie był ktoś z żywych. Gracya w postawie, zgrabność w chodzie, przyzwoitość w całém postępowaniu, jakby go jaki „Monsignore" natchnął. Przeszedł się dwa, trzy razy przez scenę, przechwiewał się do tego z tym wdziękiem niedbałości dobrego tonu, że mu każdy z obecnych wróżył, niezawodnie będzie z niego kardynał. Ale gdy ten człowieczek zaczął się publiczności zwierzać z swoich miłostek, z swoich nadziei, dopiéroż nastały śmiechy nie do uśmierzenia. Ubóstwiał malarza siostrę, i wcisnął się w ten zakątek właśnie, ażeby „téj gwiazdzie piękności" uścielić raj szczodrotą uczuć swoich.

„Co za wdzięki! *o numi!* Co za rączka! *o gioja!* Co za oczy! *o me felice!*"

Przerywa szczęsny monolog, służąca przypadkiem. Cassandrino w przymilenia do niéj, i z zręcznością niewymowną wsuwa jéj złotówkę do rąk, że powiernica grzecznościami ujęta odchodzi zapowiedzieć Pani odwiedziny miłego gościa. W oczekiwaniu galant podtatusiały rozpiéra się w krześle, opatruje czy mu tak lub inaczéj nogi do twarzy, widoczne bicie serca, rozpina się pewny otuchy zwycięztwa. Wkrótce przybywa ubóstwiona piękność — zaczynają się ukłony, grzeczności; zręczny zwodziciel wcale nienatrętny zachodzi z daleka, osnuł chytrością śmiałość, i snnie jak wąż roztropny. Ale jak się tu wywiązać? On stary, ona młoda. — Do twierdzy z najsłabszéj strony.

„Za pozwoleniem" mówi słodziutkim głosem „czy wolno mi Pani zaspiewać piękną Cavatynę z wczorajszego teatru którę słyszałem? I nie czekając odpowiedzi chwyta Mandolinę i spiewa istotnie przedziwnie. „*Brava, bravissima la Ciabalina!*" wywoływała w oklaskach publiczność.

Ciabalina? któż to jest prosiłem sąsiadki. — I tego Pan niewie — kochany panie żę Ciabalina jest szewcówna która co wieczór dostaje „una colonata" za to że molodyę głosu swego pożycza fantocinom? Ach, Pan też jak widzę wiele nie wiesz, dodała złośliwie.

Cavatina zawiérała oświadczenie miłości. Cassandrino przechyla się z gracyą przez poręcz krzesła swojéj bogini, i czeka wyroku losów swoich. „*Per Baccho!*" wypływa wreście z usteczek jéj słówko: „jakżeż Pan ujmujący Mości Cassandrino! a co za suknia u Pana! w Rzymie Pan sobie równego niéma." Pochwała ośmiela go, i zaczyna wyliczać rąbek za rąbkiem ozdoby toalety swojéj; wyciąga nawet repetyer, wydzwania jéj do ucha godzinę, rozwodzi wszystkie ozdóbki i w zapale podsuwa się z krzesełkiem — gdy w tém zjawia się nagle zawiesisty wąs z pod łokciowéj czupryny, postać brata panienki do któréj się nasz gładysz wdzięczył. Cassandrino przerażony odskakuje, spieszy artyście naprzeciw, który także przedstawia wierny typ malarzów w Rzymie. Geniusze tamtejsi mają ulubione cechy, włos spadzisty w kędziorach, kołnierz od szyi wywrócony, potężne wąsy, wywody czołobitności Tycyanom, Aniołom, i tym co się brodami wsławili.

Malarz wyprasza Cassandrina za drzwi; on jakby nie słyszał, okadza go pochlebstwami, i nie odchodzi aż pewny szczęścia że zabrał zaszczytną znajomość; a brat chociaż rozbrojony w gniewie, upomina dziewczynę i wystawia jéj lekkomyślność postępowania.

Tu zmiana sceny; Cassandrino stoi pod oknami gdzie jego „Gwiazda" mieszka, i postanawia przebrać się za chłopca i wstąpić na naukę do malarza. Co postanowił, wykonywa w drugim akcie; przyprawia wąsy, pejsy, faworyty, i do niepoznania zakrywa lice i podbródek. Siwą głowę zasłoniła czarna peruka, z-za ucha tylko wyglądał siwy meszek. Panna go wcale nie poznała i scena oświadczeń idzie prześlicznie; bohatyr pomija zachody młodzieńcze i zaraz trybem starych kawalerów klęka przed boginią. Cóż kiedy i tu mu się nie wiedzie — ciotka ich schodzi i poznaje jaka to kokosz czubata. Czterdzieści lat temu wzdychał do niéj, potém ją zdradził.

Cassandrino nie dosiaduje ale umyka do celi malarza; tam także coś nie dopisało, wybiega zwarzony, za nim zgraja kandydacików malarstwa z wrzawą i szyderstwem, wreście i sam malarz nadchodzi mało zbudowany tém co się stało, i wydaje na Cassandrina wyrok: pomalować go na czerwono, potém oprowadzać po Corso. „Będziesz czerwony od stóp do głowy, a mieć to za czém się ubijasz."

Takie przymówki schwytują słuchacze, i dłonie puchną tak poklaskują; ale Cassandrino wkońcu otrzymuje przebaczenie, bo zaręcza że purpury nie szuka lecz się chce z ciotunią ożenić.

Po téj komedyi nastąpił balet: Studnia czarodziejska. Maryonetki, poznałem że mogą zadziwić. — *Divino!* wołała sąsiadka. Do niepojęcia, dodałem; — a przecież rzecz bardzo prosta, mruknął sąsiad mój drugi, ale bo nasz Signor Calzotti prawdziwy, geniusz, co chce, to ma.

Przysmaczek z ryżu bardzo pożywny dla dzieci, robią tak w Lipsku: Biorą mączki ryżowéj łyżeczkę, sypią w półtora kwaterki wrzącego mléka, dodają trzy żółtka i cukru według upodobania. Rozbija się to dobrze w wrzącém mléku, i ma być bardzo dobre.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*